



*Anna Wysocka-Kalkowska*

*Moje życie  
bez ciebie*

Anna Wysocka-Kalkowska  
„Moje życie bez ciebie”

Copyright © by Anna Wysocka-Kalkowska, 2015  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji  
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana  
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski  
Korekta: Ryszard Krupiński  
Projekt okładki: Robert Rumak  
Zdjęcie na okładce: Kazimierz Zakrzewski

ISBN: 978-83-7900-453-9

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3/352, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Przeczytałam kiedyś, że nasze życie jest jak podróż pociągiem, do którego wsiadają i z niego wysiadają różni ludzie. Jedni zagrzewają w nim miejsce na dłużej, pozostają do końca podróży, inni wysiadają na poszczególnych stacjach życia. Zainspirowało mnie to porównanie... zastanowiłam się jaki jest mój pociąg? Ilu wartościowych ludzi? Ile przystanków i ile spojrzeń za siebie? Zabawne, zazwyczaj w takich chwilach nie myślimy o tych ludziach, którzy są w naszym pociągu zawsze... bo oni siedzą na miejscu stale zarezerwowanym. Pomyślałam więc o tych osobach, z którymi spotkania, niekiedy bardzo krótkie, były nadzwyczaj wartościowe. O osobach, które budziły we mnie podziw i które zadziwiały sposobem smakowania życia i niezłomnością. O ludziach, przy których czułam wyjątkowość chwil, nawet kiedy nie były to spotkania obfitujące w radość. O ludziach odważnych na tyle, by stawiać czoło największym przeszkodom i na tyle wyjątkowym, by uśmiechać się każdego dnia. Pisząc „Moje życie bez Ciebie”, wielokrotnie wracałam myślą do tych właśnie osób i zatrzymywałam mój pociąg na niezwykle wartościowym przystanku o nazwie: Aleksandra Orłowska. Moje życie bez Ciebie kładę więc na ławce na tej właśnie stacji.*

## ***Spis treści***

W rozpacz . . . . .	5
W pogoni za tęsknotą . . . . .	16
Czas na zmiany . . . . .	61
Przebudzenie . . . . .	79
Odwaga . . . . .	91
Oczyszczenie . . . . .	121
Powrót . . . . .	131
Powroty oczyma Anny. . . . .	146
Życie zaskakuje . . . . .	149
Nowe życie . . . . .	154
Radość . . . . .	163
Anioły chodzą po świecie . . . . .	168
W nieznane... . . . .	184

## ***W rozpaczy***

**K**iedy umiera człowiek, z którym miało się spędzić życie, to czy wówczas ta druga istota na ziemi nie powinna mieć wyboru, czy chce nadal zostać tu na ziemi? Czy nie powinna mieć przyzwolenia, by poszybować w chmury, złapać ten odchodzący kawałek duszy i móc zadecydować? Czy życie nie powinno na chwilę przystanąć? Czy świat nie powinien wstrzymać oddechu? – myślałam, siedząc na ławce w jednym z warszawskich parków. Zastanawiałam się, co by było, gdybym posłuchała wtedy mamy i nie wyjechała z Tomaszem.

Miałam 18 lat, kiedy zaczął mnie na moło w Sopocie. Od samego początku wiedziałam, że zmieni moje życie i chociaż był piętnaście lat starszy, miał narzeczoną, psa i plany na przyszłość, ja zwyczajnie wiedziałam, że musi je zmienić. Spędziliśmy ze sobą dwa piękne tygodnie, po których oświadczyłam mamie, że wyjeżdżam z Tomaszem, a szkołę skończę w Warszawie. Nie rozumiała. Prosiła, wręcz błagała, żebym tego nie robiła, a kiedy to nie pomogło groziła i zabraniała, ale ja wsadałam do jego samochodu i wyjechałam. Trzy lata później pobraliśmy się. Mimo wysłanego zaproszenia mama nie przyjechała na ślub, uważała, że wychodzę za starca z grubym portfelem, a ja wychodziłam za cudownego człowieka, którego kochałam ponad wszystko na świecie.

Nie zadzwoniłam powiedzieć jej, że starzec zginął, chyba nawet nie czułam takiej potrzeby, było mi to obojętne, zresztą

wszystko obecnie jest mi obojętne. Siedziałam tak w bezruchu, wpatrzona w jeden punkt i chociaż bardzo chciałam coś zaplanować, to zwyczajnie nie mogłam. O dziwo tym razem nie płakałam, może już nie miałam czym. Może wylałam już tyle łez, że wyczerpałam wszystkie limity. Niczego nie byłam pewna i wszystko wydawało mi się teraz pozbawione sensu.

Od śmierci Tomasza minęło kilkanaście miesięcy, a ja nie byłam ani razu na cmentarzu. Firma, którą po nim odziedziczyłam zagwarantowała mi byt do końca życia, nie musiałam więc nic robić, nic prócz comiesięcznych podpisów składanych na dokumentacji, którą przynosił zaufany przyjaciel Tomasza. Mieszkałam u Wiki. W Warszawie miałam tylko ją i Tomasza, więc po jego śmierci zaproponowała, bym z nią zamieszkała. Tak w skrócie wygląda teraz moje życie, zupełnie nie wiem co z nim zrobić, więc nic nie robię, zwyczajnie nic.

Moje dumanie o niczym przerwał dźwięk telefonu komórkowego:

– Słucham

– Agato, opłaciliśmy czynsz twojej galerii, ale zastanawiamy się z Marcinem, czy może nie wypowiedzieć, dopóki nie staniesz na nogach... to dosyć duże obciążenie, a galeria nie przynosi żadnych zysków, bo ty w zasadzie w ogóle nie malujesz – mówiła, co chwila przystając, tak jak mówi się do dziecka, kiedy odbiera się jego ulubioną zabawkę.

– Tak możecie wypowiedzieć, jest mi to obojętne – powiedziałam i rozłączyłam rozmowę.

W tej samej chwili w parku zerwał się straszliwy wiatr, który zabrał mi moją ukochaną apaszkę. Wściekłam się, bo była ostatnim prezentem od Tomasza, a za nic w świecie nie mogłam jej

dogonić, więc uklęknęłam na środku trawnika i nie zważając na wiatr czy ulewę zwyczajnie płakałam. Jakaś starsza kobieta wzięła mi z rąk telefon, wybrała ostatnie przychodzące połączenie i sprowadziła do parku Wiktorię. Siedziała ze mną w tym deszczu dobre pół godziny, przytulała i wycierała ociekającą mi po twarzy wodę. Mówiła w kółko – dziecko drogie będzie dobrze, będzie dobrze, a kiedy pojawiła się Wiktoria zwyczajnie wstała i odeszła. Spanikowana Wiki płakała razem ze mną i prowadząc do samochodu pytała, czy to przez galerię, ale ja znowu nie miałam ochoty o tym rozmawiać, więc milczałam.

To milczenie zaprowadziło mnie do jednej z klinik zdrowia psychicznego. Kilka dni później siedziałam więc w wygodnym fotelu pośrodku olbrzymiego lekarskiego gabinetu, a obcy człowiek opłacony przez moją przyjaciółkę zadawał mi kolejne pytania, które podobno miały na celu wyciągnięcie mnie z depresji czy też załamania nerwowego. On pytał, ja milczałam lub bezwiednie patrzyłam za okno, niby to go słyszałam, ale nie miałam sił z nim rozmawiać. W ogóle nie chciałam z nikim rozmawiać, najbardziej na świecie chciałam spać, spać i o niczym nie myśleć. Umarł człowiek, którego kochałam najbardziej na świecie, mężczyzna, z którym miałam przeżyć całe życie i chyba mam prawo się nie odzywać, mam prawo chcieć być sama. Dlaczego Wiki nie potrafi tego zrozumieć? Czemu na siłę przyprowadza mnie tutaj – pytałam samą siebie, patrząc jak siedzący przede mną terapeuta dwoi się i troi, by usłyszeć mój głos.

– Nie chce mi się z tobą gadać rozumiesz – powiedziałam w końcu nerwowo.

– Dlaczego?

– Bo nie mam ci nic do powiedzenia.

– Umarł twój mąż.  
– Nie twoja sprawa.  
– A czyja?  
– Moja, tylko moja.  
– Jesteś pewna?  
– Do cholery, jego rodzice nie żyją, więc to chyba tylko moja sprawa, prawda?

– Nie zgadzam się, spójrz do tyłu.

Energicznie obróciłam się na fotelu, podniosłam głowę i przez weneckie lustro w ścianie dostrzegłam Wiki. Siedziała na ławce i opierając głowę o szybę nerwowo paliła papierosa.

– Ona nie pali – powiedziałam całkiem bezwiednie.

– Już pali.

– Nie rozumiem.

– Śmierć twojego męża, a jej brata to chyba jednak nie tylko twoja sprawa.

– Jestem na niego zła, mówiłam mu żeby nie jechał, żeby został w domu, że zapowiadają śnieżycę. A on pojechał, wsiadł do tego cholernego samochodu i zginął. Zostawił mnie samą, całkiem samą rozumiesz?

– Proszę, odwróć jeszcze raz głowę. Spójrz na nią i powiedz, co widzisz?

– Widzę Wiki, która bez celu chodzi po korytarzu.

– Jak myślisz dlaczego tak chodzi? – zapytał i po raz kolejny mnie rozdrażnił.

– Nie wiem czy to ważne?

– Więc ci powiem Agata. Ona się denerwuje. Przywozi cię tutaj co tydzień od czterech miesięcy. Po każdej wizycie spogląda mi w oczy i z olbrzymią nadzieją czeka na słowa, w których



powiem jej, że się odezwałaś. A kiedy przecząco kiwam głową, dając jej znać, że stoimy w miejscu, czuję jakby uchodziło z niej życie, jakby za każdym razem umierała ta nadzieja, którą przez cały tydzień skrzętnie pielęgnowała, by znaleźć w sobie siłę, aby ponownie ciebie tu przywieźć. Czy nadal sądzisz, że jesteś zupełnie sama Agato?

Spojrzałam na niego, czując zażenowanie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułam coś innego niż rozpacz czy złość. Zupełnie nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Ale uprzedził mnie i spoglądając na zegarek stwierdził, że czas się skończył.

– Jak to skończył, powiedziałam nieco podirytowana?

– Spokojnie. Teraz już będzie tylko lepiej. Ona tam czeka na ciebie, popatrz jak nerwowo spogląda na zegarek. Wyjdź i powiedz jej sama.

– Mam jej powiedzieć o czym rozmawialiśmy? Czego ona ode mnie oczekuje?

– Ona niczego od ciebie nie oczekuje, ona na ciebie po prostu czeka.

– Więc co jej powiedzieć?

– Może dziękuję?

Zaskoczył mnie, wstałam i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku drzwi. Tuż przed nimi zatrzymałam się jednak i spojrzawszy na niego spytałam jak ma na imię?

– Uśmiechnął się, podszedł do mnie i wyciągnąwszy rękę głośno i wyraźnie powiedział:

– Jestem Michał. Miło było Cię w końcu usłyszeć Agato. Do zobaczenia za tydzień.

Otworzyłam drzwi. Wiktoria nerwowo poderwała się z krzesła.

– Gdzie lekarz? – zapytała.

– W gabinecie.

Spojrzała na mnie badawczo.

– Od kiedy Ty palisz? – spytałam.

Moje pytanie wyraźnie ją zaskoczyło. Patrzała na mnie, jakby czekając na jakiś dalszy ciąg, którego ja nie potrafiłam stworzyć. W końcu usiadła i patrząc na mnie z olbrzymią nadzieją zapytała?

– Rozmawiałaś z nim?

Skinęłam głową i rozplakałam się. Nie mogłam wycedzić ani jednego słowa, ale myślę, że ona wiedziała, wiedziała, że tuląc ją z wszystkich sił chciałam powiedzieć jej dziękuję.

Wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy do jej mieszkania. Dopiero tam uświadomiłam sobie, że mieszkam u niej już od pół roku. Zaparzyła kawę i zapytała czy czuję się zmęczona. Uśmiechnęłam się i pokręciłam przecząco głową. Usiadła więc obok i bezsensownie zaczęła przełączać kanały telewizyjne.

– Muszę tam wrócić prawda? – spytałam, patrząc jej prosto w oczy.

– Musisz, sama nie dasz rady.

– Wiesz Wiki, po prostu nie chce mi się bez niego żyć.

– Wiem, ale to minie i znowu będziesz szczęśliwa.

– Jak mam być szczęśliwa? Przecież on już nie wróci?

Uklękała przy mnie i położyła głowę na moich kolanach. Nic już tego wieczora nie powiedziała, ale to dzięki niej czułam się trochę silniejsza.

Jak tornado nadszedł kolejny poranek i po raz pierwszy od pół roku pomyślałam, że muszę się umalować. Stałam przed lustrem w łazience i otworzywszy szafkę z kosmetykami zaczęłam mozolnie i powoli robić makijaż. W tym samym czasie do łazienki

weszła Wiki i choć z wszystkich sił próbowała zachowywać się normalnie, zupełnie nie potrafiła ukryć swojego zaskoczenia i wielkiej radości, którą przez przypadek ujawniła, kiedy wychodząc na korytarz zapomniała o wiszącym tam lustrze. Odwróciłam głowę, a w jego odbiciu dostrzegłam podskakującą Wiki, która tuląc z wszystkich sił zabrany z łazienki ręcznik szeptała coś pod nosem. Uśmiechnęłam się na jej widok i ukończywszy makijaż poszłam zaparzyć poranną kawę. Po chwili zajadałyśmy wspólnie grzanki z serem. Wiktoria między kęsami przewracała strony jakiegoś kolorowego czasopisma, a ja z wszystkich sił próbowałam oswoić się z myślą, że niestety nie mam wyboru, że muszę dalej żyć i coś z tym życiem muszę zrobić.

– Myślisz, że ten terapeuta mógłby przyjmować mnie częściej niż raz w tygodniu – zapytałam mimochodem, co wyraźnie ją zszokowało.

– Jasne, zaraz postaram się to załatwić – odpowiedziała bez wahania i nerwowo zaczęła szukać swojego telefonu.

– Daj spokój, zjedz najpierw śniadanie.

– Nie, nie, najpierw zadzwonię.

Chwyliłam ją za rękę, co spowodowało, że spojrzała mi prosto w oczy, więc bez ogródek zapytałam.

– Dlaczego tak panikujesz?

– Boję się,

– Czego się boisz Wiktorio?

– Boję się, że się rozmyślisz.

Jej odpowiedź mnie zdziwiła. Puściłam jej rękę, nadal jednak patrząc jej głęboko w oczy zapytałam:

– Czy ja tak bardzo potrzebuję tego psychiatry? – zapytałam niepewnie.

- Myślę, że masz depresję – odpowiedziała bardzo stanowczo.
- Depresja – powtórzyłam, po czym bez ogródek zadałam kolejne pytanie – czy ta depresja to przez to, że umarł Tomasz?
- Tak, to przez to, że nie potrafisz pogodzić się z jego odejściem.
- Bo on nie odszedł, on umarł. Słyszysz to straszne słowo: umarł, umarł... przy tym słowie depresja brzmi co najmniej przyjemnie, prawda? – zapytałam.
- Nie, depresja nie brzmi jak coś przyjemnego, ona zabija cię każdego dnia, nie widzisz, nie czujesz? Co z tego, że tu ze mną siedzisz? Umierasz jak on, tyle że za życia, każdego dnia zabijasz samą siebie. A przecież to mu życia nie wróci.
- A jeśli ja nie chcę żyć bez niego?
- Więc go bardzo rozczarujesz – powiedziała zimnym i pretenstjonalnym tonem, co spowodowało, że spojrzałam na nią badawczo, więc zaczęła kontynuować.
- Najbardziej na świecie kochał w tobie to parcie do przodu, to, że nie bałaś się stawiać czoła przeciwnościom losu, że nigdy nie bałaś się walczyć o swoje marzenia. Gdyby cię teraz zobaczył... byłby wściekły... pomyślałby, gdzie ta kobieta, którą tak kochałem? – mówiła jednym ciągiem, co chwila przecierając łzy z policzka.
- Ale go tu nie ma, nie ma i już nie będzie – krzyknęłam z wszystkich sił.
- Nie wierzę, słyszysz, nie wierzę, a jeśli Ty uważasz, że go już nie ma, to zwyczajnie nie byłaś go warta, bo on jest... każdego dnia tęsknię za nim coraz mocniej i mocniej, ale wiem, że to, iż go nie widzę, nie znaczy, że mnie zostawił. To zwyczajnie niemożliwe, wiem, że mój brat jest tu teraz rozumiesz! Każdego dnia

jest ze mną, zawsze będzie, bo miłość nie umiera... nie umiera!  
– krzyknęła, po czym obsuwając się po szafce zaczęła szlochać.  
Ukucnęłam obok i wyszeptalam jej do ucha przepraszam.

– Nie przepraszaj, ale błagam cię, walcz, bo ja nie mam już sił walczyć za nas dwie... a przecież Tomasz chciałby, żebyśmy były szczęśliwe. Poza tym... wiesz, ja... ja dostałam się na ten upragniony staż w Londynie.

– Kiedy lecisz?

– Jeśli poczujesz się lepiej, to za dwa miesiące.

– Nie możesz swoich planów dostosowywać do mojego samopoczucia.

– Muszę, nie mam tu na ziemi już nikogo bliższego niż ty... Jesteś moją jedyną rodziną.

– Byłam jedynie żoną twojego brata.

– Kiedy wychodziłaś za mojego brata, szepnęłaś mi do ucha, że zawsze chciałaś mieć siostrę, pamiętasz? – zapytała z nadzieją w głosie i w tym jednym momencie zrozumiałam, że potrzebujemy siebie nawzajem, jak nigdy dotąd, i skinąwszy głową oświadczyłam, że chciałabym pójść na cmentarz.

Nazajutrz stanęłam nad grobem pełnym kwiatów, z nagrobka patrzył na mnie Tomasz, uśmiechał się tak szczerze, a ja czytałam w kółko to jedno zdanie: tu spoczywa świętej pamięci Tomasz Górecki, kochający mąż i brat, a potem spoglądając na drzewo, które rosło tuż za pomnikiem, prosiłam, by dał mi jakiś znak... ale nadaremnie. Tomasz milczał, Wiki milczała i moje życie też milczało, więc by przerwać tą straszną ciszę w końcu spojrzałam na Wiki i spytałam.

– To zdjęcie Tomasza na nagrobku to skąd?

– Nie wiem, to ty je przecież wybrałaś?

– Ja?

– Ty, powiedziałaś, że jest tu taki pogodny.

– Bo jest – odrzekłam resztkami sił i znowu poczułam łyzy na policzku.

– Musisz coś zrobić ze swoim życiem – kontynuowała.

– Ale co, co ja mam zrobić Wiki, myślałam, że jak tu przyjdę, że on da mi jakiś znak, że coś podpowie, rozumiesz? A tu tylko cisza... słyszysz tą straszną ciszę Wiki?

Patrzyła na mnie milcząc i przecierając łyzy z policzka wycedziła jedynie, że musimy iść dalej. Ale ja nie wiem, gdzie mam iść, nie wiem czego mam jeszcze w tym życiu szukać, nie wiem też czy jeszcze będę kiedyś w stanie się uśmiechać i chyba nie chcę już się uśmiechać. Moje rozmyślanie przerwał dźwięk telefonu komórkowego Wiki.

– O witam panią... tak, tak to ja... ojej nic nie wiem – mówiła zagadkowo.

– Chwilę, już pytam... sekundę, stoi obok mnie.

– Spojrzałam na nią zagadkowo.

– Agata, dzwoni pani z parku, zgubiłaś wtedy jakąś apaszkę?

– Apaszkę, jaką apaszkę... a tak zgubiłam wtedy apaszkę... Boże skąd? Jak?

– Pani mówi, że ją znalazła, możesz odebrać od niej z pracy.

– A gdzie pani pracuje – Wiki kontynuowała rozmowę, a ja wiedziałam, że to właśnie jest znak, że to Tomasz... to na pewno on...

Wiki zakończyła rozmowę, wtykając mi w dłoń zapisany na chusteczce adres i zupełnie nieświadoma moich myśli, tak samo zaskoczona sytuacją jak ja, powiedziała: uwierzysz, kobieta miała ulotkę reklamową twojej galerii i rozpoznała cię... zadzwoniła

więc na podany poniżej numer kontaktowy, czyli mój... tyle zachodu dla apaszki, w dodatku nie była pewna czy jest twoja...  
Niesamowite, co?

- To jest apaszka od Tomasza - wycedziłam.

- Co ty mówisz?

- Ostatni prezent od niego, dał mi ją na tydzień przed wypadkiem... powiedział, że mam założyć ją na wernisaż, który przygotowywałam.

- Patrzyła mi prosto w oczy i nie była w stanie nic powiedzieć, przyklękła więc i zapalając świeczkę wyszeptła:

Wiedziałam, wiedziałam, że jesteś, że nas nie zostawiłeś, a potem szybkim ruchem chwyciła mnie pod ramię i ruszyliśmy w stronę zaparkowanego samochodu.

## ***W pogoni za tęsknotą***

**N**ie mogłam tej nocy spać i cały czas zastanawiałam się, czy to możliwe, czy możliwe jest, by kochać tak bardzo, by pokonywać granicę dwóch dzielących nas światów za pomocą znaków? A jeśli tak, co ma powiedzieć mi ta znaleziona apaszka? Może mam zrobić ten wernisaż? Może decyzja o zamknięciu galerii była przedwczesna? A może to zbieg okoliczności, może zwyczajnie życie ze mnie zakpiło? Tomasz, co mam robić? Jak mam bez Ciebie żyć? Na takim właśnie rozmyślaniu minęła mi cała noc, a kiedy dźwięk budzika udowodnił nadejście poranka, myślałam już tylko o tym, że muszę koniecznie odebrać apaszkę, że może to swego rodzaju list.

Ubrałam więc buty i lekką pomarańczową sukienkę, którą uwielbiał Tomasz i pieszo chodnikami smutnej i obcej mi od paru miesięcy Warszawy zaczęłam przemierzać jej ulice, by odebrać jak mniemam znak..., który przez wiatr przesyłką poleconą, prosto z nieba przesłał mi Tomasz. Nie płakałam, i choć było mi ciężko, bo przepiękny wiosenny dzień powodował, że uczucie tęsknoty za Tomaszem było jeszcze większe niż przedtem, to jednak po raz pierwszy od dłuższego czasu wydawało mi się, że jednak muszę żyć, że może mam tu jeszcze jakiś cel. Może na razie jest on jeszcze mało widoczny, może chowa się gdzieś we mgle mojej zagubionej duszy, ale na pewno gdzieś tam jest. Tak jak Tomasz, przecież on też gdzieś jest.



Takie oto rozmyślanie doprowadziło mnie pod wskazany adres i stanęłam przed wielką szklaną szybą czekoladerii, nad którą wielkimi napisami mienił się szyld „Czekoladeria Nadziei”. Uśmiechnęłam się więc do siebie i z niedowierzaniem dotknęłam kącików ust, by upewnić się czy to naprawdę się dzieje. I działa się, bo pani w szybie zapukała, widząc mnie na ulicy i szerokim uśmiechem zaprosiła do środka.

– Witaj drogie dziecko – usłyszałam, zanim zdołałam wykrztusić z siebie ciche dzień dobry.

– Widzę, że dzisiaj czujesz się lepiej – kontynuowała – pomyślałam, że ta apaszka to z pewnością jakiś cenny skarb dla ciebie.

– Dlaczego? Dlaczego tak pani pomyślała – spytałam.

– Płakałaś wtedy tak mocno, tak, że szloch nie pozwalał dojść ci do głosu, a jednak resztkami sił powtarzałaś moja apaszka, więc kiedy wychodząc z parku zobaczyłam kołyszącą się na wietrze, zahaczoną o jeden z krzewów, zielonkawą apaszkę, pomyślałam, że to pewnie twoja. Zaraz ci ją przyniosę, mam na zapleczu – powiedziała i wykonała ruch w kierunku drzwi zaplecza, jednak chwyciłam jej dłoń i zatrzymując wyszeptałam ciche dziękuję.

– Ależ proszę, ja wiem najlepiej, że przedmioty czasami mają dla nas duszę, może zaparzę ci czekolady, już dawno z nikim jej nie piłam.

– Skinęłam głową, a jej twarz rozświetliła się niczym słońce w bardzo pogodny dzień. Po chwili przyniosła apaszkę i dwa kubki z gorącą czekoladą.

– Dla ciebie moja droga smak migdałowy – lubisz?

– Mój mąż pijał czekoladę o smaku migdałowym, i często mnie nią częstował. Dziękuję, wybrała pani najlepiej jak tylko mogła.

– Wiem, pijał ją czasami u mnie – odpowiedziała i szybko zamilkła.

– Jak to? – znała pani mojego męża?

– Piętnaście lat temu pracowałam u Tomasza, a wcześniej u jego ojca. Kiedy rodzice Tomasza zginęli, uświadomiłam sobie, że życie tak szybko mija, a ja nie chcę być wiecznie sekretarką. Zawsze chciałam prowadzić małą kawiarenkę, opowiedziałam o tym Tomaszowi, a on, mimo że był tak młodym człowiekiem, skierował w moją stronę naprawdę wiele mądrych słów o spełnianiu marzeń... zaryzykowałam i tak powstała „Czekoladeria Nadziei”. Dzisiaj mam 60 lat i niesamowite poczucie, że ten młody człowiek spowodował wtedy, że czuję się spełniona.

– Uśmiechnęłam się, marząc, by powiedziała coś jeszcze, a ona podając mi dłoń powiedziała.

– Jestem Ania, mówię do Ciebie per ty, bo taka już jestem... zwyczajnie bezpośrednia, więc będzie miło jeśli i ty będziesz mówiła mi po imieniu.

– Skinęłam głową, była jak zaczarowana... urocza kobieta w podeszłym wieku, której dusza grała serenadę młodości.

– Byłam na waszym ślubie, pewnie mnie nie pamiętasz, ale dowiedziałam się przez przypadek i zaniósłam wam wtedy bukiet żółtych tulipanów... ludzie mówili, że Tomasz poszukał sobie nastolatkę, że to pewnie na chwilę, ale ja nigdy nie widziałam w oczach dwojga ludzi tyle miłości... kochałaś go bardzo mocno prawda?

– Nie umiem bez niego żyć – wyszeptalam.

– Widzisz, wtedy w parku, wiedziałam kim jesteś poznałam twoją twarz nie tylko z ulotki. Tomasz bywał u mnie raz na jakiś czas, zwykle jak po ogień: ciepłą czekoladkę pani Aniu krzyczał,

ale zawsze w tych piętnastu minutach, raz na pół roku, czasami raz na kwartał opowiadał coś o tobie i wyciągał fotografie z portfela. Myślę, że chciałby, żebyś była szczęśliwa.

– Ale jak?

– Nie wiem drogie dziecko, nie wiem co mam, co mogłabym ci powiedzieć, oprócz tego, że od kiedy spotkałam cię w parku, czuję jakby ktoś dał mi znak, że potrzebujesz pomocy. I tak sobie myślę, czasami kiedy Tomasz pił u mnie herbatę żartowałam, że nigdy mu się nie wypłacę za te spełnione marzenia, a on odpowiadał, że w najbardziej niespodziewanej chwili poprosi o spłatę długu, ale jeszcze nie wie, o co mnie poprosi. I myślę, że teraz właśnie prosi.

– Rozpłakałam się, a ona przytuliła mnie do siebie.

A zaraz potem podała chusteczkę i zakomunikowała, że nie będziemy już płakać, a potem, zmieniając temat, spytała:

– Ta młoda dziewczyna, która odebrała cię z parku to Wiki, prawda?

– Tak, ale ona chyba cię nie kojarzy.

– Była małą dziewczynką, kiedy jej rodzice zginęli, a Tomasz nigdy nie przyprowadzał jej do firmy, musiał szybko dorosnąć, nagle stał się nie tylko szefem korporacji, ale jeszcze ojcem.

– Tak, byli niesamowicie zżyci, ale Wiktoria jest dzielna, znosi to wszystko lepiej niż ja, może śmierć rodziców w jakiś sposób ją uodporniła... nie wiem. Ona mówi, że on nadal tu jest, tyle że niewidoczny... ale to mrzonki, które tworzymy z tęsknoty.

– A znaki... nie wierzysz w znaki?

– Wierzę, ale to takie nierealne.

– Wiesz, czytałam kiedyś książkę, jedno zdanie zapamiętałam na zawsze, jej autorka napisała, że kiedy dwie dusze scala się, to

gdy jedna z nich musi odejść, ta druga opiekuje się nią, dopóki osamotniona dusza znowu ma siłę rozwinąć skrzydła.

– Piękne...

– Posłuchaj Agatko, na Kociewiu mam dom po rodzicach... i spędzam tam wakacje... może w tym roku pojechałabyś ze mną? Chociaż na trochę, zmienisz klimat... to czarodziejska miejscowość... może znowu zaczniesz malować... widziałam, że zamknęłaś galerię. A i ja miałabym trochę radości... stara panna nawet nie ma się do kogo odezwać.

– Pomyślę... zapytam co Wiki na ten temat myśli... teraz wybacz, ale muszę już iść.

– Dobrze, głowa do góry moja droga.

– Do zobaczenia.

Kolejnego dnia słońce świeciło tak mocno, że choćbym chciała trochę poudawać senność, to powieki same unosiły się ku górze. Pomyślałam więc, że może czas najwyższy pojechać do firmy, żeby chociaż poudawać, że trochę pracuję. Ubrałam się zatem jak przystoi na prezeskę, podmalowałam oko, zaparzyłam kawę, której nie wypilałam, bo mój zestresowany żołądek niczego nie przyjmował i ruszyłam w ślad Wiki, która pewnie padnie ze zdziwienia jak mnie tam zobaczy.

Wejście do budynku okazało się trudniejsze niż myślałam, cofałam się trzy razy, w końcu jednak stwierdziłam, że i tak kiedyś mnie to czeka, więc może lepiej mieć to już za sobą. To dziwne... gmach firmy zawsze wydawał mi się wielki, ale dzisiaj jak nigdy przedtem był zwyczajnie kolosem... olbrzymem, w dodatku zimnym i pustym olbrzymem. Mimo rozgardiaszu, który panował na dolnym piętrze, w uszach dudniło mi każde stąpienie obcasa, a kiedy stanęłam pod gabinetem Tomasza, serce waliło

mi jak opętane, nacisnęłam jednak klamkę i szybkim krokiem dotarłam do biurka. Stałam przy nim i dotykając zimnego blatu zamknęłam oczy. Tkwiłam tak w bezruchu do momentu, kiedy do biura weszła zatroskana Wiktoria.

– Marcin powiedział mi, że tu jesteś. Nic mi nie mówiłaś, że wybierasz się do firmy.

– Bo sama nie wiedziałam, znaczy nie planowałam tego, ale przecież sama mówisz, że kiedyś muszę się z tym wszystkim zmierzyć.

– I dzisiaj jest ten dzień? – zapytała,

– Jeden z wielu niestety.

– Wszystko jakoś się ułoży... zobaczysz... damy radę!

– Ja muszę dać radę, ty musisz pojechać na ten staż.

– Pomyślałam, że może sobie odpuszczę, będzie jeszcze okazja.

Po tych słowach chwyciłam ją za rękę i patrząc jej prosto w oczy stanowczo zaprzeczyłam jej słowom.

– Nie możesz teraz zrezygnować, ja dam radę.

– Kilka dni temu w parku zrozumiałam, że nie mogę zostawić cię samej... nikogo prócz mnie nie masz... a ja mam tylko ciebie... więc może razem w dwie damy sobie radę.

– Wiki, ty przecież dajesz sobie radę, to tylko ja rozsypałam się jak domek z kart, ale dzisiaj już wiem, że muszę iść do przodu... nie mogę zawieść Tomasza, muszę się pozbierać. Jeszcze nie wiem, w jakim kierunku pójdę i co stanie się moim nowym celem, ale muszę jakoś godnie przeżyć to życie, by kiedyś móc z dumą spojrzeć mu znowu w oczy.

Patrzyła na mnie jakoś tak z wielkim zdziwieniem, a potem podeszła do okna i opierając głowę o szybę stwierdziła.